

BEZBRONNI DOROŚLI W KOŚCIELE

Dlaczego nie potrafimy
przeciwstawić się krzywdzie

z o. Tomaszem Francem OP
rozmawia Magdalena Dobrzyńiak

Dedykujemy tę książkę Zranionym.
Tym, którzy mówią o swojej krzywdzie,
i tym, którzy wciąż jeszcze cierpią
w samotności i milczeniu -
aby usłyszeli, że nie są sami.

Autorzy

ROZDZIAŁ 1

W poszukiwaniu mistrzów

Wiele dziś mówi się o niepokojących zjawiskach i zdarzeniach, które są efektem duchowych manipulacji wewnątrz Kościoła. Czy to znaczy, że jest to przestrzeń szczególnie podatna na nadużycia, stwarzająca wręcz warunki do nadużyć przez samo to, że dotyka delikatnej sfery, jaką jest duchowość?

Nie można powiedzieć, że Kościół jako instytucja jest przestrzenią dysfunkcyjną, która z definicji prowadzi do nadużyć, ale jednocześnie nie sposób zaprzeczyć, że to wszystko, o czym mówisz, w Kościele się wydarza. Wchodząc do jego wspólnoty, z jednej strony konfrontujemy się z przestrzenią spotkania z tajemnicą, doświadczeniem z definicji intymnym, z drugiej – z czasem dość płytkim kaznodziejstwem czy niedbałą liturgią. Kiedy mówię o tym misteryjnym

6 BEZBRONNI DOROŚLI W KOŚCIELE

doświadczeniu, mam na myśli sferę duchową, w której dotykamy wymiaru osobistego odniesienia do wiary, do aktów religijnych, do tego, co słyszymy, dowiadując się o ideałach zawartych w Ewangelii, ale także do tego, co ta wspólnota w wymiarze duchowym nam daje. To jest sfera piękna, ale bardzo podatna na wpływ. Kiedy myślę o Kościele, nasuwa mi się porównanie do rodziny. W niej dochodzi do największej liczby nadużyć, ale jednocześnie stanowi ona najbardziej istotne środowisko w życiu człowieka: bez niej trudno stworzyć więzi, nauczyć się kochać, wchodzić w relacje zdrowych zależności, dawać sobie wzajemnie możliwość rozwoju czy spełniać potrzeby. Dlatego nie uznajemy rodziny za złą komórkę społeczną. Podobnie jest z Kościołem. Patologia dotyczy niektórych osób, które są jego członkami, w tym takich, które z racji pełnionych w nim funkcji powinny szczególnie wyraźnie dawać świadectwo zgodności życia z tym, co głoszą. Co, niestety, często przekłada się na patologię organizacyjną czy instytucjonalną.

Spróbujmy więc może najpierw zacząć od uporządkowania pojęć. Czym jest duchowość?

Odpowiedź na to pytanie wcale nie jest prosta, bo w naszej rozmowie duchowość będzie się przeplatała z takimi wymiarami ludzkiego życia jak psychologiczny, emocjonalny, kulturowy, z kontekstem rodzinnym. Spróbujmy jednak! Tym bardziej że nie da się jej oderwać od tego podłoża. Najprościej więc rzecz ujmując, duchowość – jak ją rozumiemy

w chrześcijaństwie – jest wewnętrzną zdolnością człowieka do budowania relacji z Bogiem. Jednocześnie znajdujemy w niej cały szereg wartości, którymi żyjemy, kiedy kierujemy się prawdą, dobrem, miłością. Mają one zakorzenienie i w naszych potrzebach, i w wartościach je przekraczających, wspólnych dla ogółu ludzkości, ale też w Kimś, kto jest źródłem tych wartości.

Widzisz więc, że nie jest to prosta definicja. A im trudniejsza, tym bardziej podatna na różne wpływy. Duchowość jest też często przez nas zanedbywana. Jak zwykliśmy pracować nad psychicznym czy emocjonalnym aspektem dojrzewania w ludzkim wymiarze, tak o duchowości często zapominamy i myślimy, że jest ona tylko czymś zakorzenionym w Piśmie Świętym lub skończyła się wraz z lekcjami religii i nie wymaga od nas osobistego ustosunkowania się, pracy, poznawania.

Tymczasem jest to predyspozycja, dzięki której możemy powiedzieć: „Jestem zdolny do ofiary z samego siebie, ze względu na Tego, którego poznaję nie poprzez zmysły, ale w Kim lokuję sens swojego życia. Jestem zdolny do tego, by zapomnieć o sobie ze względu na wartości wyższe, takie jak prawda, dobro, miłość”. To krok dalej niż psychika i emocje. Jest jednak jeszcze jeden wymiar, chyba zaskakujący. Wyraża się zdziwieniem: „Nie rozumiem, dlaczego ktoś jest zdolny do takiej ofiary” albo: „Nie rozumiem, jak możesz kochać kogoś, kto tak ciebie zranił, jak możesz wybaczyć swojemu prześladowcy”, lub: „Co to znaczy, że ktoś oddaje

8 BEZBRONNI DOROŚLI W KOŚCIELE

swoje życie, dzień za dniem, w żmudnej pracy na rzecz jakiejś chorej osoby? Dlaczego znosi cierpienie po ludzku nie do udźwignięcia?”. Te wyzwania wykraczają poza zdolności psychiczne, emocjonalne. Są wyrazem jakiegoś wymiaru duchowego, trudnego do sprecyzowania, choć każdy umiałby powiedzieć, ze względu na co albo na kogo to robi. To obszar podatny na wpływ, ale nade wszystko święty, delikatny, bardzo osobisty. Wspomniany wpływ staje się niszczący, kiedy dochodzi do nadużycia duchowego, w którym to, co w tej sferze najbardziej delikatne – sumienie, zostaje złamane przez psychopatyczne działanie sprawcy.

O ile o rozwój emocjonalny, społeczny, psychiczny staramy się dbać, o tyle z duchowością bywa różnie. Czasem w tej sferze nie wyrastamy z ubranek pierwszokomunijnych. Co się dzieje, jeśli jesteśmy dojrzały psychicznie, ale nasza duchowość utknęła gdzieś na poziomie dziecięcym? I na odwrót – gdy rozwijamy się duchowo, a nasza psychika tkwi nadal w doświadczeniach dzieciństwa, nieprzepracowanych i niedojrzałych?

Każda dysharmonia stanowi obszar podatny na psychopatologię. Nierównomierność rozwoju to dysfunkcja, która sprawia, że ta niewystarczająco rozwinięta sfera jest podatna na dopełnienie czymś płynącym z zewnątrz. Na przykład, jeżeli rozwijamy się psychicznie, emocjonalnie, relacyjnie, ale zaniedbujemy duchowość, to powstaje obraz osoby dobrej, ale niemającej kontaktu z warstwą duchową. Dobry

człowiek, ale niekoniecznie wierzący, obojętny na kwestie duchowe. Można w taki sposób przeżywać swoją egzystencję, ale jest to trudne, kiedy jakiś, dostępny innym osobom, obszar jest mi nieznany. Muszę wówczas ulokować związany z nim głód przekraczania siebie, duchowych poszukiwań w czymś, co duchowością nie jest. Czasem dysharmonia polegająca na niewykształceniu języka zdolnego do jej opisu sprawia, że nie mogę się na tym poziomie poruszać, rozmawiać, nie mam doświadczeń. Jestem infantylny, podatny na wpływ różnego rodzaju treści, również z obszaru płytkiej popkultury religijnej. Wtedy moja duchowość staje się patchworkowa. Nie jestem w stanie rozstrzygać, co jest dla mnie rozwojowe, a co nie. Czuję bezradność, nie mam kompetencji do tego, żeby to ocenić. Jedyłą kompetencją, jaką mogę wtedy stosować, jest tylko ta psychiczna, emocjonalna. Czy coś mi nie służy? Czy to lubię? Czy tego nie lubię? Jeśli spotkam kogoś, kto, na przykład, zrobi na mnie wrażenie od strony psychicznej i emocjonalnej, to z łatwością i bezkrytycznie będę przejmował jego duchowość jako część mojej. To zaś oznacza podatność na wpływ. Ludzie, którzy są wyrobieni intelektualnie czy emocjonalnie, wcale nie są bezpieczni, jeśli nie pracują nad swoją duchowością.

Jak więc nad nią pracować?

Po pierwsze, trzeba praktykować, czyli znajdować czas na to, żeby tworzyć więź z Bogiem. Warto znajdować czas na myślenie, na refleksję o swoich czynach, decyzjach, o swoim

10 BEZBRONNI DOROŚLI W KOŚCIELE

życiu, o wartościach, o relacjach, w które wchodzę, ich jakości. Po drugie, trzeba karmić się tym, co najbardziej „kaloryczne” dla ducha: Biblią, poważną teologią. Po trzecie, warto zestawiać własną sferę duchową z doświadczeniami innych osób; przekonywać się, jak inni przeżywają swój świat duchowy, zwłaszcza ci, których uważamy za pewnego rodzaju mistrzów duchowości. I tu ważna uwaga – weryfikuje te postacie jakość ich życia, więc dobrze, żeby nie byli to ludzie współcześnie żyjący. Jeżeli dzisiaj myślę o kimś, kto żyje blisko mnie, że jest mistrzem duchowym, to trzeba zadać sobie pytanie, czy taki obraz tej osoby nie wynika z jego cech emocjonalno-psychicznych, niekoniecznie z rozwoju wymiaru duchowego. Lubię mistrzów sprawdzonych przez tradycję i czas, patrząc na jakość ich życia, które się już zakończyło. Na tym buduję swoją duchowość. Do współczesnych mistrzów podchodzę krytycznie.

A kiedy jest na odwrót, to znaczy gdy ktoś rozwija się duchowo, ale nie rozwija sfer intelektualnej, emocjonalnej, relacyjnej?

Może stać się człowiekiem fanatycznym, zideologizowanym, odnoszącym się do innych z wyższością i krytykanckim. Będzie „przemocą duchową” przesłaniał swój strach. Będzie lękowo podchodził do różnorodności świata, w którym żyje, opierając swoje poczucie wartości nie na własnych doświadczeniach, ale właśnie na tłumaczącym mu życie autorytecie duchowym, co w konsekwencji sprawi, że będzie totalnie

oddany jakiejś idei, utożsamiając ją z osobą, która ją reprezentuje. Będzie wtedy jak pusty dzban, napełniany tylko tym, co pochodzi z zewnątrz. Zabraknie mu zdolności do krytycznej oceny i refleksji, czy to, czym żyje, sprawdza się w jego życiu. Nie ma narzędzi, by to oszacować, i myli mistrzostwo, które inspiruje do rozwoju, z poddaniem się autorytetowi, którego brakowało mu w życiu. Narzędzia emocjonalno-psychiczne takiego człowieka są bardzo słabe, nie wykształciły się. Dlatego cały czas szuka autorytetu.

Rozumiem, że osoby, u których następuje rozdźwięk między duchowością a psychiką i emocjami, są bardziej narażone na manipulację i przemoc?

Tak. Dysonans związany z niedostatkiem rozwoju psychiki i emocji pogłębia podatność na autorytaryzm w kwestiach duchowości. Wtedy ktoś staje się dla mnie mistrzem bardzo konkretnie, tu i teraz, podejmuje za mnie duchowe, a z czasem i życiowe decyzje. Narażeni jednak są także ci, którzy są wyrobieni psychicznie, emocjonalnie, a jednocześnie ich duchowość jest karłowata. Nie mają elementarza, dzięki któremu mogliby wyrażać swoje duchowe aspiracje w dojrzały sposób, więc muszą go zapożyczać od kogoś, kto niekoniecznie ma dobre intencje i niekoniecznie będzie dawał dobre rady. Można więc być magistrem, doktorem, profesorem, a jednocześnie nadal tkwić w tym ubranku pierwszokomunijnym, o którym wspomniałaś. Taki człowiek zatrzymuje się w swojej refleksji duchowej, a przez to

12 BEZBRONNI DOROŚLI W KOŚCIELE

jest bardzo niekompetentny w relacji z Bogiem, w modlitwie. Nie potrafi czytać Pisma Świętego, przyjmuje wszystko literalnie albo zawiesza swoją aktywność w tej sferze, przyjmując cudze opinie, nie szukając własnej. To bardzo niebezpieczne. Czasem dziwimy się, jak to jest możliwe, że ktoś tak wyrobiony społecznie czy intelektualnie jest jednocześnie podatny na manipulacje. Jest tak właśnie dlatego, że jego sfera duchowa jest zaniedbana, niedojrzała.

To sporo tłumaczy, bo rzeczywiście porażają nas sytuacje nadużyć duchowych, do których dochodzi wobec osób kompetentnych w swoich dziedzinach, rozwiniętych intelektualnie.

Tak, to prawda. Każdy potrzebuje pomocy w rozwoju duchowym, zresztą również w innych sferach dojrzewania. Dlatego lepiej mieć mądrego kierownika duchowego – jeśli go chcemy mieć – wyrobionego w obszarze integracji ludzkiej niż prostego, niewykształconego a wyłącznie uduchowionego. Niestety toksyczny wpływ osoby reprezentującej tę drugą postawę jest o wiele bardziej prawdopodobny niż kogoś zintegrowanego na poziomie ludzkim, kto w sferze duchowej powinien jeszcze nad sobą popracować czy wręcz wraz z nami ją odkrywać, poszukiwać, praktykować, a nie uważać się z góry za wielkiego mistrza.

Mówisz, że mistrzów duchowych warto szukać wśród tych, których życie jest już zamknięte. Myślę jednak, że

naturalne są poszukiwania takich, którzy osadzeni są w tych samych kontekstach kulturowych, społecznych, religijnych, jakimi sami oddychamy. Potrzebujemy przewodników, mistrzów, nauczycieli. Po prostu. Czy w związku z tym dysponujemy narzędziami, które pomogą nam zweryfikować, czy człowiek, w którym pokładamy nadzieję i któremu zaufaliśmy, jest rzeczywiście tego godny? To trudne pytanie, ale możemy w nim odnaleźć część odpowiedzi. Mówisz o tym, że w takich osobach szukamy wielu różnych znaczeń czy ról. Wymieniasz: przewodnicy, mistrzowie, nauczyciele. Dodałbym jeszcze: ojcowie i matki. Rzecz w tym, że często szukamy kogoś, kto zastąpi nam coś, czego nie doświadczyliśmy w naszym życiu lub doświadczyliśmy w sposób niewystarczający czy wręcz raniący. Pierwszym weryfikatorem nie jest więc to, jak funkcjonuje nasz żyjący współcześnie mistrz, bo znamy go przecież tylko fragmentarycznie. Nie mamy listy jego czynów popełnionych aż do śmierci, jak dysponujemy nią zwykle w przypadku kogoś, czyj duchowy dorobek należy do tradycji. Współczesna nam osoba robi na nas wrażenie przykładem, słowem, nauczaniem. Znamy ją z tu i teraz, nie jesteśmy w stanie zobaczyć jej w pełni jej życia. Może nas inspirować, ale taka weryfikacja jest zbyt uboga, w dodatku niebezpieczna, bo podatna na szczątkowość obserwacji, która jest oczywiście ważna, bo przecież wybieramy kogoś ze względu na to, czego doświadczamy. Mówisz, że bardzo potrzebujemy kogoś, kto jest nam bliski, bo rozumie nasz

14 BEZBRONNI DOROŚLI W KOŚCIELE

kulturowy kod. To jest oczywiście ważne, ale o wiele istotniejszy jest fakt, że duchowość jest czymś bardziej uniwersalnym niż tu i teraz naszej codziennej kultury. Stąd to, co powie XIII-wieczny dominikański mistyk Mistrz Eckhart, będzie bliskie doświadczeniu XX-wiecznego trapisty Thomasa Mertona.

Jednak ważniejszym kryterium jest to, w jaki sposób obecność takiego obecnie żyjącego mistrza wpływa na moje życie. A na to pytanie, wbrew pozorom, nie ma łatwej odpowiedzi. Muszę zobaczyć nie to, czy potrafię żyć tak, jak naucza mój mistrz, tylko czy moje życie po tym, jak go spotkałem, staje się bogatsze dla środowiska, z którego pochodzę, w którym na co dzień funkcjonuję. Mój wzrok nie powinien więc skupiać się na nauczającym, ale na jakości mojego życia w relacji do osób czy do spraw, do których wracam ze spotkania z nim, a więc rodziców, przyjaciół, obowiązków, pracy, studiów. Jeśli to się polepsza, czyli moje życie staje się pełniejsze i bardziej uczciwe wobec tych, których znam, w pełnionych rolach społecznych, jeśli ów mistrz wpływa wzbogacająco na moją codzienność, to można mniemać, że jest to człowiek, który rzeczywiście pomaga mi żyć lepiej tu i teraz, w moim osobistym kontekście. Jeżeli jednak porzucam część siebie na rzecz czegoś nowego, co dostaję od tej osoby, jeżeli zaniedbuję swoje obowiązki, rodzinę, bliskich, przyjaciół, tworząc nową tożsamość opartą na tym, co ten człowiek mi daje, to niestety może oznaczać, że spotkałem kogoś, kto nie jest zainteresowany moim rozwojem, a chciałby stworzyć

mnie na nowo, na swoje podobieństwo. Tu trzeba być bardzo ostrożnym i wyczulonym na takich „mistrzów”, którzy wiedzą lepiej ode mnie, którzy, nie znając historii mojego życia, mówią, jak mam żyć: „To zrób, tego nie rób”, czyli zarządzają moim życiem. Dobry mistrz pomaga nam raczej stawiać pytania: chcesz to zrobić, ale jak to się ma do twojej przeszłości, obowiązków, relacji, do twojego życia? Czy to ci pomaga szczerze przeprosić Iksińską albo pokochać prawdziwej Igrekowskiego? Jeśli sprawy tak są stawiane, można mieć nadzieję, że trafiliśmy na kogoś, kto pomaga nam się rozwijać.

Pozwól, że ci przerwę. Przychodzi mi na myśl Jean Vanier. Nie można powiedzieć, że on nie miał pozytywnego wpływu na życie osób, które wzrastały dzięki jego książkom, jego wizji Kościoła i Ewangelii. A jednak dziś mówimy o nim: „predator”. Okazał się człowiekiem niegodnym zaufania. To kryterium tutaj trochę nie zadziałało.

Niekoniecznie. Jeżeli – i tu się zgodzę – wpłynął na jakość życia tych osób, które go spotykały, i tych, którzy zmienili swoje życie pod wpływem jego dzieła, to właśnie jest to, o czym mówię. To znaczy, że oni, czerpiąc z jego inspiracji, polepszyli jakość swojego życia w tym, co robili. Podkreślam: czerpali, inspirowali się. Drapieżność tego człowieka natomiast spełniła się wobec tych, którzy przyjmowali jego słowa, idee wpływające na ich życie jako swoje własne, bezkrytycznie i w ten sposób oderwali się od siebie samych.

Nie wiem, czy to jest zrozumiałe: chodzi o to, że charyzmatyczni liderzy mają często coś, co dla szerokiego otoczenia jest pociągające, godne podziwu, ale dla najbliższych im osób staje się destrukcyjne. To, co szerokie, jest mniej związane z tym konkretnym człowiekiem, mniej oparte na więzi z nim, a raczej weryfikuje się w moim życiu, w moim przeżywaniu obowiązków, więzi rodzinnych czy społecznych, nawet zainspirowanych jego nauką. Wtedy ta toksyczność nie jest tak silna, by można było powiedzieć, że wiąże się z krzywdą. Jeśli jednak ktoś – z różnych powodów, nawet czystych, ideowych – porzuca wszystko, co do tej pory tworzyło jego codzienne życie, i pociągnięty przez drapieżnika idzie za nim, to zaczyna żyć jego kategoriami, zaczyna chcieć być takim jak on, myśleć jak on. Staje się podatny na bycie użytym jak niewolnik, osoba skrajnie zależna. Zaczyna tego mistrza utożsamiać z różnymi swoimi nieuświadomionymi potrzebami: ojca, przyjaciela, ukochanego, przewodnika, w końcu Boga. Dzieła Jeana Vaniera trwają i są dobre nie ze względu na niego samego, ale ze względu na jakość życia osób, które się w nie zaangażowały. Natomiast ci, którzy zagubili równowagę i raczej chcieli być tacy jak on – przez bliskość, adorację, oddanie, porzucając swoje życie – stali się podatni na jego drapieżność, a potem wykorzystani.

I tutaj od razu powiedzmy sobie, że to, że porzucili swoje życie z powodu charyzmy człowieka, któremu się poddali,

nie oznacza ich winy. To nie jest zarzut w stosunku do ofiar, tylko zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo.

Masz rację. Porzucili, odcięli, pozostawili – te określenia nie mają aż tak wyrazistych konotacji związanych ze sprawczością tych osób, ich decyzji. To jest kwestia podatności na wpływ drapieżnika, który jest niesamowitym manipulatorem. Proponuję więc, byśmy słowo „porzucili” zamienili na zwrot „zostali oderwani”. Jest trafniejszy. Zostali oderwani od swojego życia, wyrwani przez manipulatorów z korzeniami. Stracili to, co łączyło ich z własnym życiem.

Z łatwością można stwierdzić, że dobro, które Vanier pozostawił, jest niekwestionowalne. Ludzie jednak, którzy żyją czy żyli według jego nauk, czują się oszukani, czują, że ich świat został zachwiany. Jakoś to muszą pracować?

Dotykamy teraz różnych płaszczyzn. Uproszczenie w stylu: „Warto zachować dobre owoce, a odrzucić to, co w tej postaci złe”, może być bardzo raniące. Warto więc doprecyzować, co mam na myśli, mówiąc o dobrych owocach. Nie mam na myśli jego książek, bo zbyt kontrastują z postawą autora. Przypomnijmy sobie dyskusję wokół dzieł Marko Rupnika, tego czy nadal mogą zdobić świątynie. Głosy są podzielone. Z jednej strony, dlaczego nie? Z drugiej – to element zgorzenia, gdy patrzymy na dzieło stworzone przez kogoś, kto był dwulicowy, kto okazał się wilkiem w owczej skórze. Sprzeciw wobec promowania krzywdziciela za pomocą

jego nieożywionego dzieła jest jak najbardziej uzasadniony i trafny. Natomiast jeśli chodzi o dobre owoce w dziełach, które żyją swoim życiem, podtrzymywanym przez innych ludzi, powinniśmy być ostrożni, by ich nie przekreślać, bo nawet jeśli powstały z inspiracji predatora, to są rozwijane i istnieją dzięki zaangażowaniu osób, które tworzą lub tworzyły wspólnoty, mieszkańców domów Arki, wolontariuszy. To już w pewnym sensie nie są dzieła Jeana Vaniera. Nie można ich przekreślać, bo w ten sposób przekreślilibyśmy też część życia osób poszkodowanych, a one mają prawo odnajdować w tych dziełach część swojej historii i doświadczeń. To bardzo delikatna materia i wymagająca subtelności w rozdzielaniu ziaren od plew. Dopiero wtedy, gdy rozróżnimy te obszary, możemy usunąć to, co pochodzi bezpośrednio od szkodnika, a to, co powstało nawet pod jego wpływem, ale żyje teraz innym życiem – naszym entuzjazmem, wiarą, zaangażowaniem i siłą – zostawić. To już jest moje i ode mnie zależy, co z tym zrobię.

Kiedy wybuchła sprawa Rupnika, Centrum Duchowości Salwatorianów w Krakowie, gdzie ów jezuita wiele razy gościł, głosił konferencje czy rekolekcje, opublikowało oświadczenie przepaszające uczestników za to, że był zapraszany. Czy to znaczy, że to, czego doświadczyli ci ostatni na tych rekolekcjach, było zatrute?

Może taka myśl powstać i myślę, że jest zasadna, aczkolwiek nie musi ona być kategorierna. To jeden z elementów

bólu osób poszkodowanych nie bezpośrednio, ale przez kontakt z literaturą, słuchanie kazań czy konferencji, jakiś duchowy wpływ ich autora. Oświadczenie centrum jest rzetelne, tak powinno się działać. Natomiast jeśli chodzi o odbiorców jego nauczania, słuchaczy jego konferencji, trzeba być ostrożnym. Bo co to znaczy: zatrute? To nie znaczy, że działające we mnie bez udziału mojej woli i intelektu. To nie znaczy, że jestem wobec tego bezbronny. To znaczy tylko tyle, że muszę włożyć więcej wysiłku – niestety, na tym polega ta rana – żeby to, co przyswoiłem w moim życiu duchowym, na nowo rozpoznać, rozeznaczyć na podstawie świadectwa sprawdzonych mistrzów duchowych, ale także wykorzystując rozsądek, roztropność, własne doświadczenie życiowe. Można też porozmawiać o tym z kimś ze wspólnoty.

Czy to znaczy, że złe drzewo może wydawać dobre owoce?
Owoce, o których mówimy, nie są własnością manipulatora. Są przyjęte przeze mnie, być może pod wpływem manipulacji czy z powodu niewiedzy, ale to nie znaczy, że mam je traktować jak chorobę, wobec której jestem bezbronny. Nie jestem bezbronny wobec czegoś, co ktoś we mnie włożył i co we mnie nadal tkwi. To jest coś, co, owszem, jątrzy, powoduje zapalenie, ale mogę szukać leku. Taką nadzieję chciałbym przekazać. Osoby poszkodowane nadal mają w sobie siłę, życie i nadzieję, a także zawsze mogą otrzymać wsparcie, które pomoże im się odnaleźć.

Ten wątek dotyka też kwestii różnych kręgów poszkodowania. Osób w różnym stopniu skrzywdzonych jest więcej niż tych, które zostały bezpośrednio zranione, choć to one cierpią najbardziej.

Warto to powtarzać, bo mówimy o krzywdzie systemowej, o kręgach wpływu krzywdy, która dotyczy osoby poszkodowanej, jej najbliższych, wspólnoty, z której ona pochodzi, i wreszcie Kościoła lokalnego. Każdy, kto należy do tej wspólnoty, nawet jeśli nie doświadczył bezpośrednio krzywdy, z pewnością zada sobie pytanie, dlaczego go to ominęło. I ono już wyraża ranę, której w pewnym sensie doznaje, bo budzi lęki i niepokój, może poczucie winy. Wyśitek naprawczy powinien więc być skierowany nie tylko do osoby wprost poszkodowanej, ale do całej wspólnoty czy do krewnych i bliskich tych osób. Na koniec – nie można z tego kręgu usunąć także wspólnoty, z której pochodził sprawca, czy jego najbliższych.

Istnieją też tak odległe reperkusje, jak choćby kwestia zgorzienia, pod wpływem którego ktoś traci wiarę, dystansuje się od Kościoła, odchodzi.

To efekt kuli śnieżnej, który na pewno poszerza krąg krzywdy poza ten pierwszy, najbardziej wrażliwy i bezpośredni. Dlatego potrzebna jest jasna, transparentna postawa Kościoła związana z wypracowaniem kultury informowania wiernych, tak aby nie musieli się dowiadywać z gazet o tym, co zaszło na plebanii. Zajęcie stanowiska ze strony kurii

powinno być klarownie zdefiniowane i mocno nagłośnione, bo jest to element ważny dla tych, którzy zastanawiają się, czy aby rzeczywiście należą do zdrowej wspólnoty. Jeśli Kościół hierarchiczny nie zajmuje się tymi kwestiami w wystarczający i dogłębny sposób, to rzeczywiście może być przyczyną odejść osób zgorszonych taką biernością, osób które sobie takie pytania zadają.

Jest coś fascynującego w tym, że człowiek, który pozostał po sobie tak dobre, owocne, życiodajne dzieło, miał swoją ciemną stronę.

To jest cały czas niezrozumiałe, jak kształtuje się duchowość sprawcy, ale myślę, że każdy z nas w każdym etapie życia jest podatny na to, żeby nim się stać.

To brzmi co najmniej niepokojąco.

Może wyjaśnię to na przykładzie rodzica. W jaki sposób taka osoba może stać się sprawcą? Mianowicie wtedy, kiedy pomyśli, że życie jego dziecka zależy tylko od niego, i zacznie za swojego potomka podejmować decyzje, myśleć, wiedzieć lepiej. Na pewnych etapach życia syna lub córki tak oczywiście jest i to normalne, ale przychodzi moment, że rodzic staje przed dylematem: czy to jest życie moje, czy mojego dziecka? Mam prawo czy nie mam prawa się wtrącać? Jak szanować jego wolność, nawet jeśli nie podoba mi się sposób, w jaki z niej korzysta? W takim momencie zapada decyzja, czy rodzic stanie się „narcystycznym sprawcą”,

pomniejszającym możliwości rozwoju swojego dziecka, które albo mu się ulegle poddaje, albo musi go zdetronizować i od niego uciec. Czy rodzic stanie się raczej kimś, kto potrafi pomieścić w sobie niepokoje, lęki, obawy i swoją pewność co do tego, jak dziecko powinno postępować? Myślę, że niestety każdy z nas ma w sobie taką pokusę, adekwatną do własnej sytuacji życiowej. Jeśli ktoś jest duchownym, ma przewagę nad każdą osobą, z którą się spotyka, bo od razu jest w jej oczach legitymizowany jako ten, o którym zazwyczaj się myśli, że powinien mieć zintegrowane psychikę, emocje, duchowość. Każdy duchowny, czy to w konfesjonale, czy podczas katechezy, czy w duszpasterskim prowadzeniu ludzi, staje przed podobnym dylematem. Brzmi on: czy to ja jestem wyrocznią życia tej osoby? Czy w spowiedzi to ja wiem, jak dana osoba powinna żyć, czy raczej mogę jej powiedzieć, jak żyją chrześcijanie, według jakich wskazań i dlaczego? To są subtelne momenty. Jeżeli taki kandydat na mistrza nie dostrzeże w sobie tego, że nagle jego zdolności i potencjał zaczynają być używane jako ostateczna wyrocznia, a on sam nie ma już nikogo nad sobą, wpada w pułapkę narcyzmu. Staje się sprawcą upojonym władzą nad czyimś życiem.

Czy wpadnięcie w tę pułapkę następuje świadomie? To jest moment, kiedy podejmuję decyzję, że moje jest ważniejsze niż twoje, czy raczej zwyciężają pewne cechy osobowościowe i zaczynają nami kierować?

Zazwyczaj sprawcy nie chcą być badani czy poddawani skomplikowanym testom psychologicznym. Nie potrafimy w pełni rzetelnie, naukowo na to pytanie odpowiedzieć. Sądzę jednak, że na pewno jest to uzależnione od wielu bardzo małych kroków, ich osobistych decyzji, a także wydarzeń w życiu sprawcy. Wiedza o nich pochodzi zazwyczaj z analizy ich biografii. Gdy spojrzymy wstecz na życie takiej osoby, to zobaczymy liczne sytuacje, kiedy mogła zdecydować, czy postąpić inaczej, co mogło wzmocnić jej dojrzałość i integralność, a tymczasem, przez takie, a nie inne wybory, wzmocniła swój narcyzm i psychopatię. Myślę o drodze charakterologicznego kształtowania swojego życia, o wzrastaniu w strukturach zakonu czy szerzej Kościoła, czy w rodzinach, bo tam też przecież można spotkać narcyzów. Jest to złożone z małych cegiełek, które na końcu pokazują: to jest ta szkodliwa osoba. Gdybyśmy wyciągnęli każdą z cegiełek, to zobaczylibyśmy, że ten człowiek musiał podejmować różne decyzje. To nie jest tak, że ktoś nagle zostaje przestępcą. To się rozgrywa w niuansach. Człowiek w sumieniu słucha głosu Boga, odczytywanego w Tradycji, w objawieniu, w swoim własnym rozumie. I nawet jeśli czegoś nie wie, jeśli się myli, wciąż jest wzywany do tego, by weryfikować swoje osądy i czyny. Sprawca tak kształtuje swoje sumienie, że zaczyna traktować swój głos, swoje rozeznanie tak, jakby ono pochodziło wprost od Boga, nie zadając sobie trudu kształtowania sumienia. Wtedy już tylko cienka granica dzieli go od tego, żeby za chwilkę pomyślał, że wie lepiej

albo że rozeznał lepiej. W biografiach sprawców odkrywamy świadków, ludzi, którzy sygnalizowali swój niepokój, mówili, że coś im nie pasowało, nie grało w tej osobie, choć nie potrafili tego nazwać. Później, niestety dopiero po skutkach, oceniamy w całości, jak każda z tych cegiełek składa się w wielki patologiczny obraz.

Zwłaszcza że często symptomy są niepokojące, ale nie zawsze w ocenie otoczenia wymagające interwencji.

Właśnie dlatego tak łatwo je zbagatelizować. Ktoś powie, że mu się wydawało, ktoś inny, że ten człowiek jest po prostu niedojrzały i powinien coś w sobie przepracować, a ktoś kolejny zwątpi w siebie, uzna, że może to z nim jest coś nie tak, może to zazdrość, że taki doświadczony, charyzmatyczny i pewny siebie. Nie myślimy od razu: „O, to cię zaprowadzi na skraj przepaści” albo: „Staniesz się Hitlerem”. Zanim Hitler został zbrodniarzem, był malarzem. Nie myślimy o malarzach, że na pewno będą kiedyś ludobójcami. Te cegiełki w kształtowaniu siebie są jednak bardzo ważne. Mają istotny wpływ na modelowanie rozwoju i powinny być brane pod uwagę przy wpływaniu na osoby, które będą kiedyś znaczące dla innych. Tu mam na myśli przede wszystkim zadania formatorów i przełożonych. Oni te cegiełki widzą i nie powinni ich lekceważyć.

Z tym jednak różnie bywa.

Tak, dlatego zdanie formatorów powinno być kluczowe w ocenie rozwoju kandydata, a oni sami powinni stale

pracować nad swoimi kompetencjami, świadomi tego, że też skądś wyszli, też mają różne swoje cegiełki, które czasem nie pozwalają im wnikliwie ocenić sytuacji.

Jak dbać o to, by nasze granice nie zostały przekroczone w kontakcie towarzyszenia duchowego czy spowiedzi, czy wreszcie we wspólnocie?

Przed wszystkim myślę, że trzeba poszerzać własne zdolności wglądu w siebie samego, to znaczy umieć sobie zadawać pytania: dlaczego jestem w danej wspólnocie, do czego potrzebuję kierownictwa, jakie jest moje pragnienie rozwoju duchowego. Jeśli znamy swoje potrzeby i deficyty, sprawcy będzie trudniej te granice przekroczyć i zaskoczyć nas „ofertą” manipulacyjną. Nasze własne emocje i psychika powinny być ciągle poddane obserwacji, autorefleksji i namysłowi. W kierownictwie duchowym mamy do czynienia ze sprawami sumienia, sięgamy po to narzędzie, by rozstrzygnąć, czy codzienne decyzje sprawiają, że coraz bardziej otwieramy się na życie Ewangelią. Angażując się w jakąkolwiek wspólnotę, należy pamiętać, że błędem jest, gdy utożsamiamy ją z całym Kościołem. To tylko część Kościoła powszechnego i uczestnictwo w niej nie jest niezbędne do zbawienia. Do tego potrzebne są sakramenty sprawowane w Kościele. Znam osoby, które świadomie unikają wspólnot religijnych, bo taką mają naturę, i dobrze się odnajdują w indywidualnym kontakcie z Bogiem. Kiedy jednak zaczynamy utożsamiać wspólnotę z miejscem naszego zbawienia,

to jest wyraźny sygnał, że tracimy zdrową granicę. Jest to też często przyczyną tragedii, bo kiedy zdarza się jakiś konflikt, nieporozumienie, jakaś krzywda, to zerwanie z tą grupą oznacza jednocześnie zerwanie z Kościołem. Podsumowując, mówimy o granicy we własnym wnętrzu, kiedy musimy ją postawić innym, aby nie oni decydowali o moim życiu, ale abym, zdolny do autorefleksji, podejmował wolne decyzje. Mówimy o granicy na linii mojego życia, kiedy uświadamiam sobie, kogo widzę w osobie spowiednika czy kierownika duchowego. Wreszcie trzecia granica, oddzielająca wspólnotę i Kościół.

Cały czas nie mogę się opędzić od wrażenia, że problem polega właśnie na tym, że nie jesteśmy nauczeni samodzielności. Szukamy więc człowieka, który nam powie, co jest dobre, a co złe, szukamy wspólnoty, która da nam dobre samopoczucie i przekonanie, że jesteśmy na właściwym miejscu.

Ten problem jest związany z kompleksami, a może nawet z niewiarą w to, że jesteśmy ważni dla Boga tak samo, jak papież Franciszek. Mało w nas wiary w to, że Pan Bóg pragnie kontaktu z każdym z nas indywidualnie i że On nie potrzebuje pełnomocników. Nie, nie mam tu na myśli dyskusji, czy księża są potrzebni. Nie o to chodzi. Chodzi o osobistą więź z Bogiem. Jeśli ktoś traktuje swoje życie duchowe poważnie, zaczyna szukać mistrzów. Pamiętajmy, jaka jest cezura...

Dobrzy mistrzowie to tacy, których życie zakończyło się co najmniej 200 lat wstecz.

Oni też byli ludźmi z krwi i kości. Mistrzostwo zdobywali przez doświadczenie, praktykę relacji z Bogiem, czytanie słowa Bożego, podążanie za nim, popełnianie błędów. Ta droga wcale nie jest przed nami zamknięta, ale prawdopodobnie nie mamy na to czasu i chcemy szybkich efektów. A to już podatna gleba dla różnych pseudomistrzów, którzy naczytali się więcej albo mają karygodną manierę mówienia o wszystkim ze stuprocentową pewnością, zwłaszcza gdy dotyczy to czyjś życie. Wracając do meritum – każdy z nas jest zdolny do żywej więzi z Bogiem i być może powinniśmy się na to odważyć. Nie ma lepszego czy gorszego języka, mojego czy innego, w budowaniu więzi z Bogiem. Każdy sposób komunikacji z Nim jest cenny, bo to nasz osobisty język. Nie istnieją też lepsze, pewniejsze, łatwiejsze drogi dojścia do Boga poza czystym sumieniem, prawdą i miłością bliźniego, czasem poświęconym na modlitwę i wrażliwością na dobro innej osoby. To są podstawy i każdego na nie stać. A my próbujemy budować ten nasz duchowy dom od dachu.

Klimat też temu sprzyja, bo żyjemy przecież w kulturze szybkich efektów. Jeśli nie osiągniemy celu w ciągu 15 sekund, to idziemy dalej.

Aplikacje temu też sprzyjają. Ktoś gdzieś powiedział, że nie powinniśmy już zajmować się nauką programowania, ale jako ludzkość powinniśmy zacząć uczyć się na nowo rolnictwa.

Jest w tym pewna racja, bo często chcemy zarabiać mnóstwo pieniędzy czy być specjalistami w jakichś dziedzinach, ale zaniedbujemy podstawowe rzeczy, czyli więź z drugim człowiekiem, przyjaźnie, relacje, zdolność do refleksji, do myślenia. Zadawanie sobie pytań, znoszenie z cierpliwością niewygód, uznawanie ograniczeń wynikających z wieku – przecież tego nie pominiemy. Żadna sztuczna inteligencja nam nie pomoże w pokonaniu tych barier. Nauka wysiłku włożonego we własne decyzje, które później mają swoje konsekwencje w życiu duchowym, zaczyna się już w dzieciństwie, kiedy rodzic może wymusić na dziecku, by założyło czerwoną kurtkę, bo jest zimno. Mądry rodzic powie: „Jaką chcesz założyć kurtkę, zieloną czy czerwoną?”. Dziecko samo zdecyduje i obudzi w sobie zdolność do decyzji, rozpozna swoje potrzeby i nauczy się ponoszenia konsekwencji...

... gdy mu będzie zimno w zielonej kurtce.

Może i zmarźnie, ale nie uczymy go wtedy uległości i podatności na wpływ. Duchowość wykuwa się w codziennym życiu, w codziennych decyzjach. Ustąpię starszej osobie miejsca w tramwaju czy nie ustąpię? To też jest element duchowości, bo albo uznam, że jestem zdolny do dostrzeżenia osoby potrzebującej i obudzę w sobie wrażliwość, albo pozostanę na poziomie egocentryzmu, bo przecież należy mi się miejsce siedzące. Właśnie w takich, wydawałoby się, drobiazgach wykuwa się nasza duchowość.

Spis treści

1	W poszukiwaniu mistrzów	5
2	Warstwy cebuli	29
3	Oko w oko z krzywdzicielem	51
4	Opatrywanie ran	111
5	Władza, przemoc, duchowe kazirodztwo . . .	153
6	Wiosna Kościoła czy toksyczny wpływ grupy?	209
7	Samotność egzorcyisty	235
8	Kogo chronią przeżożeni?	263

© Wydawnictwo WAM, 2024

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin

Redakcja: Elżbieta Wiater

Korekta: Katarzyna Onderka

Skład: Lucyna Sterczewska

Projekt okładki: Marcin Jakubionek

Za zgodą Przełożonego Polskiej Prowincji Dominikanów,

Łukasza Wiśniewskiego OP, prowincjała,

Warszawa, 15 maja 2024 r., Reg. Prow. 255/24.

ISBN 978-83-277-4239-1

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254 255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: AMW • Wrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco Book cream 70 g vol. 1.8
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.